



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Pogadanki z dziedziny chemii.

IV. W czym się objawia siła chemiczna.

Chcąc dobrze rozumieć własności chemicznej siły przyciągającej, musimy zapamiętać co następuje:

Po pierwsze: że chemiczna skłonność jest siłą, właściwą wszystkim substancjom.

Po drugie: każde ciało ma wprawdzie skłonność do łączenia się z innymi ciałami, ale skłonność ta nie jest zawsze jednakowo silną i zmienia się zależnie od tego, jakie ciała znajdują się obok siebie.

Po trzecie: że przy bliższym zbadaniu rzeczy, łączenie się chemiczne ciał podlega ścisłym prawom.

Spróbujmy wyjaśnić sobie jak najlepiej te wszystkie własności siły chemicznej.

Powiedzieliśmy, że siła chemiczna jest właściwą wszystkim substancjom istniejącym na świecie.

Wszystkie ciała, jakie widzimy dookoła, a więc kamienie, rudy, wapno, piasek, ziemia, sole, woda, powietrze, rośliny, zwierzęta, słowem wszystko to, co tworzy świat widzialny, poddano chemicznemu badaniu i okazało się, że tysiące tych różniących się bardzo na pozór pomiędzy sobą ciał składają się z 80-ciu mniej więcej prostych ciał: tak zwanych pierwiastków, podobnie jak wyrazy i zdania naszej mowy składają się z kilkunastu zasadniczych dźwięków. Cała przyroda wielkie dzieło Boże składa się z owych 80 pierwiastków, które możnaby nazwać cegłami w wielkim gmachu świata, budowniczym zaś jest tutaj tajemnicza siła chemiczna, o której właśnie mówimy.

Otóż zbadano siłę chemiczną, przyciągającą pomiędzy sobą wszystkie znane pierwiastki. Najpospolitsze z nich są: tlen, azot, wodór, węgiel, siarka, fosfor, krzem, chlor i cały szereg metali naprzykład: żelazo, cynk, cyna, miedź, srebro, złoto i t. d.

Jeżeli więc mówimy o istnieniu chemicznej siły przyciągającej pomiędzy pierwiastkami, to rozumiemy co następuje:

Każdy z pierwiastków, naprzykład tlen w pewnych warunkach łączy się z każdym innym pierwiastkiem.

Tak naprzykład tlen, łącząc się z azotem, daje kwas azotny, z wodorem zaś, daje wodę, a z węglem dwutlenek węgla. Może on także łączyć się z siarką i wodorem na kwas siarczany i t. d.

Widocznie siła łącząca nie spoczywa tylko w samym tlenie, ale także w owych innych ciałach, z którymi się łączy chemicznie. Musimy więc przyznać, że skłonność chemiczna, wywołująca powstawanie związków, jest niejako stosunkiem, jaki panuje pomiędzy rozmaitemi substancjami chemicznymi. Siedliskiem jej są oba ciała wchodzące w związek.

Ponieważ jednak dostrzegamy to we wszystkich znanych pierwiastkach, przeto musimy przypuścić, że w każdym z nich spoczywa chemiczna siła przyciągająca, wychodząca na jaw wtedy, kiedy dwa albo więcej pierwiastków zbliża się do siebie w odpowiedni sposób. Idąc jeszcze o krok dalej, wnioskujemy, że chemiczna siła spoczywa na wszystkich bez wyjątku przedmiotach nas otaczających,

gdyż owe przedmioty składają się z 80-ciu pierwiastków. Taka chemiczna siła buduje wszystko, ale też i niszczy swoje dzieło. To, co nazywamy w codziennej mowie zwierznięciem, rdzewieniem, zgryzieniem, spalaniem, rozpadnięciem się, gniciem i butwieniem, próchnieniem, obumieraniem jest tylko skutkiem zmian chemicznych, albo lepiej, skutkiem chemicznego przyciągania, które zmienia postać przedmiotów. Tak samo jednak skutkiem działania siły chemicznej jest wszystko to, co nazywamy powstawaniem, tworzeniem się, kiełkowaniem, rośnięciem, słowem gra sił chemicznych wywołuje nieustanne zmiany w świecie materialnym, niszczy i tworzy bez przerwy. Zmienia się tu jednak tylko forma zewnętrzna, treść zaś istotna pozostaje jedną i tą samą. Widzimy więc, że siła chemiczna odgrywa główną rolę w świecie, a więc zasługuje, abyśmy starali się poznać prawa, jakim ulega.

Wł. U.



Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)



Przysłałam tu do pana profesora — rzekła, przyciszając głos, — żeby u pana zasięgnąć rady a także, żeby własnemu sercu ulżyć. Chłopcy też niech wiedzą. Jestem pewna, że można liczyć na nich. Potrafią utrzymać tajemnicę i pomogą mi w tem, żeby mamuleczka się nie dowiedziała.

Tu głos Zosi stał się ledwo dosłyszalnym szeptem, a twarz jej powlokła się jeszcze większą bladeścią.

— Dzieci we wsi chorują na szkarlatynę...

Józio i Zdziś przybliżyli się do Zosi i zawiśli oczami na jej ustach. Pan Chlewiatko począł gładzić łysinę, co zawsze czynił w chwilach zakłopotania, czy niepokoju.

— Żkąd wiesz? — zapytał szeptem Zdziś.

— Józnowa, niańka Jańcia, chodziła odwiedzić swoją siostrą na wsi. Wiedziała, że dzieci tej siostry były chore, ale o tem nic nie powiedziała, więc jej mamuleczka pozwoliła. Teraz przypadkiem usłyszałam, jak opowiadała Jagusi, że już jedno dziecko jej siostry zmarło, a drugie leży w gorączce, gardło mu strasznie opuchło, a ciało ma okryte drobną wysypką, tak gęstą i czerwoną, jakby kto z gotowanego raka skorupę zdjął.

Chłopcy oniemieli z przerażenia, pan Chlewiatko zaś zapytał:

— Czy Józnowa miała już Jańcia na ręku po powrocie od siostry?

— Ona chodziła wczoraj, więc nietylko miała Jańcia na ręku i na kolanach, ale go rozbierała wczoraj, a dziś ubierała, myła, cesała...

Pan Chlewiatko zamyślony, tak zapamiętał gładził łysinę, iż trzeba się dziwić, że jej nie uszkodził.

— Myślałem o odsunięciu natychmiastowem Józnowej, ale to już zapóźno. Teraz nie miałoby to żadnego celu. Nic nam nie pozostaje, jak tylko zachowanie się spokojne i oczekiwanie wypadków. Przed panią Zabrzeską,

naturalnie, zupełna tajemnica! Tylko proszę żadnych szeptów, które mogłyby dać do myślenia; żadnych znaków porozumiewania; żadnych spojrzeń, mogących dać pani Zabrzęskiej do myślenia! Zosia jest blada, usta jej się trzęsą... Trzeba usiłować zapanować nad swoim wzruszeniem; kto mocno usiłuje, ten wiele uczynić może. Chłopcy niech trzymają język za zębami...

Józio przybrał obrażoną minę:

— Przecież ja jako przysły ksiądz i spowiednik, muszę umieć utrzymać tajemnicę!

— Ale jeszcze spowiednikiem nie jesteś!

— A cóżby to był za żołnierz, coby paplał jak kumoszka! — zawołał Zdziś.

— No dobrze, dobrze — rzekł pan Chlewiatko — widzę, że liczyć na was można. A teraz trzeba pomyśleć o środkach zaradczych. Dobrzeby było wykapać Jańcia, wymyć mu włosy i zmienić ubranie, te zaś, które miał na sobie, wynieść gdzie na strych, lub wyprać w wodzie z karbolem. Józnowa niech się umyje cała, niech też włoży czystą bieliznę i zmieni ubranie wierzchnie. Tyle na teraz. Po lekcji chłopcy zaprzęgą swoje kuce. Pojadę niemi do doktora i zapytam go, czy niema jakich innych ostrożności do zachowania.

— I my z panem pojedziemy! — prosili chłopcy.

— Nie, moje dzieci. Może w miasteczku jest też szkarlatyna. Wiem, że się nie boicie niczego, ale chodzi tu o waszą matkę.

Pani Zabrzęska w istocie nie domyśliła się niczego. Zosia zapowiedziała Józnowej i pokojówce Jagusi i wszystkim służącym domowym, a nawet Michałowi, Wojciechowi i Antonemu, by strzegli, ile było w możliwości każdego, żeby zła wieść o zaraźliwej chorobie nie doszła uszu pani Zabrzęskiej.

Antoni przy tej sposobności opowiedział zaraz legendę, prawdopodobnie własnego pomysłu:

— Bo to wszystko przez ludzką złość i przez ludzkie grzechy! Jak św. Piotr chodził po ziemi, to się jedna kobieta śmiała z niego, że miał głowę łysą, jak jajko. A św. Piotr trzymał sobie wtedy w rękę mak polny, co go rwał, idąc przez pole w życie. Tak wziął ten kwiatek i rzucił go na dziecko, co ta kobieta trzymała na rękę. I Pan Bóg tak dał, że to dziecko stało się czarwone jak mak. Od tej pory dzieci chorują na szkarlatynę.

— Przecie dzieci nietylko na szkarlatynę chorują, ale i na odrę i na ospę...

— Ospa to znowuż od pereł, a odra od jagieł pochodzi. To wszystko za ludzką złość i ludzkie grzechy! Z ospą to tak: Jak Matka Boska na osielku do Egiptu z Dzieciątkiem jechała, a św. Józef osielka prowadził, tak jednego dnia nie mieli co jeść. Zaszli do jednej chałupy, z której pachniało świeżem pieczywem. Wchodzą i proszą o kawałek chleba, a gospodyni powiada: „Niema u nas ani kawałeczka.” Matka Boska prosi: „Choć dla Dzieciątka.” A gospodyni: „Niema ani okruszki.” A przez uchylone drzwi od komory, szła para od świeżego chleba. Tak Matka Boska zdjęła z szyi sznureczek pereł i chciała go dać za kawałek chleba. Sznureczek się zerwał, pereły się rozsypały, a dziecko tej kobiety zaczęło pereły zbierać po ziemi. Aż tu ta kobieta patrzy, a dziecko obsypane po całym cieple krostkami jak pereły. Od tego czasu dzieci chorują na ospę.

— Antoni to pewno sam te wszystkie bajki wymyśla.

— Nie, panienko, to wszystko tak było, jak mówię! A z odrą to znowu tak: Jak św. Jan był na puszczy, tak mu się szarańcza i miód, co niemi żył, okrutnie sprzykrzyły, że już na to jadło patrzeć nie mógł. Bo i prawda! Człowiekowi nawet kielbasa uprzykrzyć się może, a nie dopiero takie gady jak szarańcza, jeszcze do tego z miodem! Tak se św. Jan wyszedł do jednej wsi, co była zaraz przy puszczy i otworzył drzwi do jednej chałupy. A tam kobieta w stępie proso tłucze. Tak on do niej: „Dajcie mi, matko, garsteczkę iagiel.” A ona na to: „Albo to ja nie mam

własnych dzieci, żebym lada komu jagły dawała?” Tak św. Jan zaczął zbierać z ziemi te, co wkolo stępy leżały, ale były brudne, bo na klepisku w izbie było mokro, a kobieta po nich deptała. Więc mu się te jagły nie spodobały i rzucił je nazad na ziemię. A po izbie laziło na czworakach takie dziecko, co jeszcze chodzić nie umiało i jedna jagła, rzucona przez św. Jana upadła na rączkę tego dziecka. Kobieta patrzy, a tu dziecko pokryte malutkimi pryszczkami, jakby jagielkami. Od tego czasu dzieci mają odrę. To wszystko przez ludzką złość i przez ludzkie grzechy, panienczko!

Zosia przyszła zdać relację panu Chlewiatce, ze wszystkich swoich zabiegów, a jednocześnie opowiedziała mu legendę Antoniego.

— Wyobraźnia ludowa jest wszędzie ta sama — rzekł profesor. — Do zjawisk wszelkich przywiązuje przypowieści, podania... tworzy baśnie, niekiedy bardzo poetyczne, splata życie Świętych, a nawet życie naszego Zbawiciela z potocznymi wypadkami codziennymi. Wiara w gusła, w nadzwyczajności, w zabobony, pomaga wyobraźni ludu do przyobleczenia wszystkiego w szaty cudowności. Poczciwy Antoni jest widocznie twórcą takich baśni i legend, które się potem szeroko pomiędzy ludem rozchodzą.

— A co doktor powiedział? — zapytała Zosia.

— Że niema nic obecnie do uczynienia. Zalecił tylko utrzymanie jaknajwiększej czystości i porządku. Potwierdził wiadomości Józnowej co do złośliwości szerzącej się we wsi Suchowie szkarlatyny. Poszedł w końcu wraz ze mną do apteki i polecił aptekarzowi sprowadzenie świeżej surowicy.

— Czy to jest lekarstwo na szkarlatynę? — zapytał Jozio, obecny przy tej rozmowie.

— To jest środek niedawno wynaleziony, na dyfteryt. Szkarlatyna zaś zwykle z dyfterytem idzie w parze.

Starsze dzieci obserwowały teraz z wielką uwagą Jańcia. Ciągłe im się zdawało, że na jego buzi są *wypieki*, nie rumieńce; że nie jest tak wesoły jak zwykle, lub, że jego wesołość jest gorączkowa. Zosia wstawiała w nocy, żeby dotknąć jego czoła i żeby kontrolować, czy się z niego kołderka nie zsunęła. Pełen wyobraźni Zdziś wmawiał wprost Jańciowi ból gardła i jak go zaczął ścisnąć za krtań, próbując czy tam niema miejsca bolesnego, tak Jańcio wyznał, że go gardło boli. Co chwila któreś ze starszych dzieci poddawało krtań Jańcia masażowi i chłopczyzna utrzymywał stanowczo, że czuje ból coraz mocniejszy.

Pan Chlewiatko znowu kucami pojechał do doktora, który nakazał zakładanie termometru i wezwanie porady lekarskiej, dopiero wtedy, gdyby się okazał stan gorączkowy. Do tej chwili trzeba było oszczędzać panią Zabrzęską, którą obecność lekarza mogła przestraszyć i jej chore nerwy doprowadzić do niebezpiecznego rozdrażnienia.

XIX.

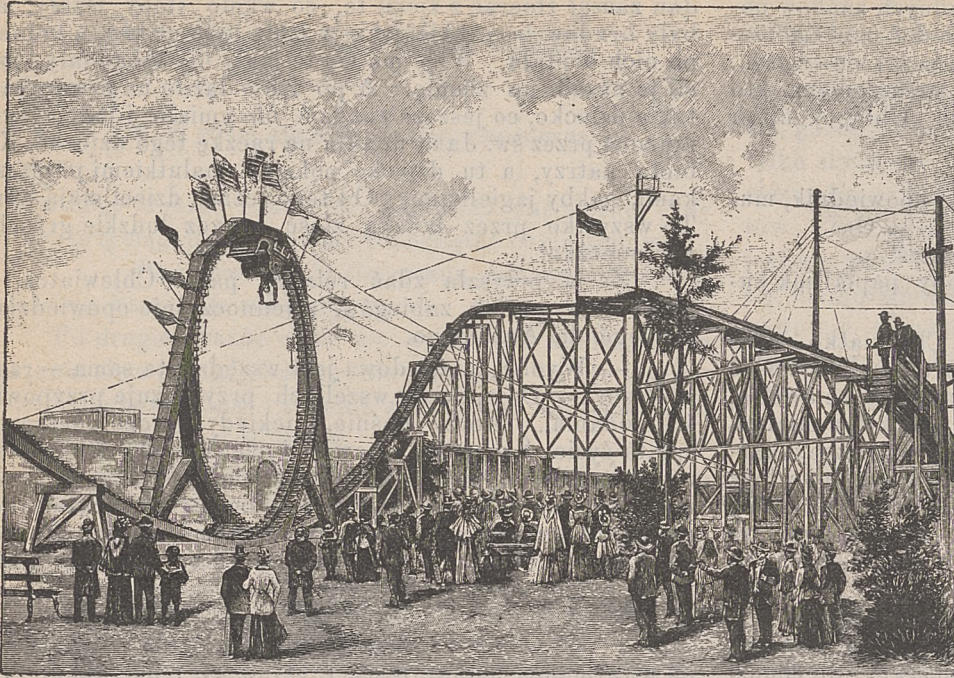
Wieczorem za Zosią do pokoju dziecinnego udała się cała procesya, z panem Chlewiatką na czele. Troje starszych dzieci szło z profesorem mierzyć temperaturę Jańciowi, który leżał z oczami otwartymi szeroko i zdawało mu się, że ma nad sobą poważne konsylium. Zosia założyła termometr pod pachę; profesor trzymał za puls; Józio podtrzymywał ramię, żeby Jańciowi było wygodniej leżeć z termometrem; Zdziś położył rękę na czole braciszka.

— Ja jestem bardzo chory! — rzekł Jańcio, który był ogromnie głodny, gdyż przez cały dzień dzieci teroryzowały go wzrokiem, by jadł jaknajmniej w przededniu ciężkiej choroby.

Dreszcze niepokoju przebiegły po ciele konsultantów; oczy ich, patrzące na Jańcia, wyrażały najwyższą obawę.

— Czy przy takiej chorobie można jeść szynkę i bułeczkę z masłem? — zapytał Jańcio.

Oburzenie na wniosek Jańcia było ogólne.



Kolej centryfugalna (str. 232).



DO MOJEGO GRAJKU.

Uraźże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.
Miły grajek się przyłoży,
A basista nie najgorzej:
Ten zawadzi, ten doprawi,
Niech im Pan Bóg błogosławi.

Miły Janek, dobra dusza,
Jeno sobie nóżką rusza;
Po chałupie okiem wodzi,
A smyczek mu już sam chodzi.
Czasem to się tak zaduma,
Aż go łokciem trąci kuma:
Co u niego we zwyczaju,
Gdy wędruje po swym kraju.

Za nutami, jedna druga,
Ta króciuchna, a ta długa,
Lecą głosy do pamięci
Ode żniwa, sianożęci...
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Lecą, lecą nie prozione,
Na ten smyczek, na tę stronę,
Przepióreczka pomkła w proso
Śpiewa dziewczę, z jasną kosą:
Bo to dziewczę pozna żywo
Jaki ptaszek śpiewa w żniwo.

Zabłąkane nóty chwytą,
Ta do tańca wymienita,
A ta znowu do roboty,
A ta trzecia na kłopoty...
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

A zawracaj od komina,
Czapka na bok, ostra mina;
Z przewieszoną tedy połą.
Pomaluchnu, a no w koło,
Potem rażno na odsibkę
Bodajże cię za tę skrzypkę...
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Szumno, tłumno i wesoło,
Aby dalej, aby w koło,
Za drugimi, za gromadą,
Maciej sąsiad za sąsiadą;
A za nimi skoczny tanem,
Jedzie Wojciech z dużym dzbanem:
Za płotami, jako mogą,
Dzieci sobie swoją drogą.

W okólniku skaczą żrebce
Dziecko śmieje się w kolebce:
Kędy spojrzeć, radość wszędy,
Dziwuje się kogut z grzędą,
I na drągu, na wysokim,
Przygląda się jednym okiem.

Stara wierzba głową chwieje,
Nie wiedząca, co się dzieje,
Wyskakują płowe wzgórza,
Tylko gwiazda oczy zmruża,
Wszyscy skaczą jak najęci,
Aż tak sobie mówią święci:
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Zmarnowana bieda z nędzą,
Jak szalone ze wsi pędzą.
Po lipowym starym moście,
Na wesele jadą goście.

— Ja słyszałem o jakimś „fałszywym głodzie”—rzekł Józio—
może to jest właśnie symptomat
tej choroby.

— Trzeba będzie jutro zastoso-
wować jaknajściślejszą dyetę —
dodał Zdziś.

— Doktor powiedział, że mo-
że jeść wszystko — rzekł pro-
fesor.

— Ale doktor nie wiedział
o fałszywym głodzie — szepnął
Zdziś.

— Zeby nam pan pozwolił,
tobyśmy jutro pojechali do do-
ktora zapytać, co można jeść
przy fałszywym głodzie — dodał
Józio.

— Pozwoliłbym, gdybyście mi
przyrzekli, że zachowacie nie-
które ostrożności.

(d. c. n.)

Jedzie matka, dobra wola,
Aż się złocą od niej pola,
Suknia na niej, jak na pani,
Złotem tkana, przerabiana.

Na przyjęcie siostra, cnota,
Otworzyła stare wrota;
Pokłoniły jej się pługi,
Stary żóraw, też jak długi;
Potem z izby bucha para,
Zaśmiała się szczęśna wiara:
Bywaj z nami wieśniakami,
Stara matko, bywaj z nami!
A któż w świecie was ugości,
Jeśli nie my ludzie prości?

Grajże grajku, bo daremno,
A ty Baśko, kręć się ze mną.
Jak się Mazur puści szczyrze,
Niech się świat za głowę bierze:
Jak się Mazur rozochoci,

Co na drodze, to wygrzynoci.
Zagrajcie mi grajku proszę,
Wysypię ci w skrzynkę grosze:
Więc i dziewczę szczere licho,
Podśpiewuje jeszcze cicho:
Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie.

Biały ranek gwiazdy gasi,
Pospali się ludzie nasi;
Po weselu, cicho wszędy,
Tylko kogut zfrunął z grzędą.
I na śpiących snem głębokim
Przygląda się jednym okiem.

T. L.



Grajtkowie na wiejskim weselu. (Patrz wiersz: Do mojego grajka).

PAWIANY.



W czasie wojny transwaalskiej zdarzało się niekiedy, że pawiany odbijały Anglikom transporty żywności wysyłane z Kapsztadu, warto więc poznać, co to za zwierzęta.

Koloniści Afryki południowej zdołali się już pozbyć lwów, słoniów i biednych Hotentotów, lecz nie mogli poradzić sobie z pawianami.

Pawian jest to mała podobna do psa i bodaj

czy nie najbrzydsze stworzenie na świecie. Potwór ten jest plagą kolonii Kapu. Kot oddaliwszy się nieostrożnie kilka kroków za dom, pada ofiarą pawiana. W ten sposób znikły angory, najkosztowniejsze ze zwierząt zbytkownych, sprowadzonych do Afryki Południowej. Psy doznają tego samego losu, nawet pochodzące z najdzielniejszych ras angielskich nie mogą mierzyć się z pawianami, które posiadają ogromną siłę w szczękach, a mają jeszcze tę wyższość nad przeciwnikami, iż zamiast czterech łap posiadają cztery ręce. Pawian z niezwykłą zręcznością chwyta przeciwnika za gardło, a walka w minutę kończy się śmiercią tego ostatniego. Chociaż pawian żywi się przeważnie jaszczurkami, przy sposobności nie gardzi i baraniną. Biedne kozy i owce, które dostaną się w moc tego potwora! Pawian stara się zabijać je jak najwolniej, bo cięższy go widok tortur, zadawanych niewinnym ofiarom; nie śmieją atakować wołów, lecz krowom zadają ciężkie rany, które zazwyczaj są śmiertelne. Strusie, dzięki szybkości swych nóg, nie obawiają się zazwyczaj pawianów, lecz łatwo przestraszają się ich szczekania. Bo natura obdarzyła pawiana nie tylko głową psią, lecz i głosem psim. Jedną z głównych rozrywek pawianów, jest niecenie postrachu między oswojonymi strusiami, hodowanymi w specjalnych parkach, otoczonych żelaznym drutem. Pomiedzy biednymi zwierzętami wszczyna się taka panika, iż biegają jak szalone z jednego końca na drugi, łamiąc nogi.

By się uwolnić od tego straszego zwierzęcia koloniści Kapu nie cofają się przed niczem. Daremnie uciekano się do pomocy najsilniejszych trucizn i najniebezpieczniejszych środków, wynalezionych przez chemię współczesną. Pantery i szakale połykają zatrute mięso arsenikiem lub strychniną, ale pawian nie daje się podejść temi sposobami. Mały te żywią się jajami, owocami, jaszczurkami i rozmaitemi owadami, a tylko od czasu do czasu jadają mięso, i to wtedy, gdy mają ochotę zabawić się męczarniami zwierząt domowych. Ich nieomylny instynkt nakazuje im niedowierzać człowiekowi, obdarzającego ich podarkami. Przy pomocy delikatnego powonienia odkrywają odrazu obecność trucizny roślinnej lub mineralnej w kawale porzuconego mięsa, i są tak ostrożne, iż nigdy nie połkną pigułki. Inteligencja niemal ludzka tych zwierząt stała się przysłowiową. W chwilach odpoczynku otaczają się strażami, których czujność nie pozostawia nic do życzenia. Na pierwsze ostrzeżenie krzykiem tych małych posterunków cała czereda znika w mgnieniu oka. Pawiany nie uciekają przed człowiekiem nieuzbrojonym w karabin. Dla broni białej żywią pogardę i nie sobie z niej nie robią. Przy spotkaniu z kolonistą uzbrojonym tylko w nóż myśliwski, pawian rzuca na niego kamieniami i król stworzenia musi często uciekać przed batalionem bombardujących małp.

Koloniści zazwyczaj w nocy przygotowują odwet nieprzyjacielowi, którego napady rujnują w kilka godzin najbardziej kwitnące osady rolne.

Połowanie na pawiany przypomina wyprawy przeciwko plemionom Basutów lub Zulusów.

Przed zachodem słońca otaczają zarosła, w których pawiany założyły obozowisko. Następnie bardzo zwolna zacieśniają koło, zmuszając pawiany do gromadzenia się na pagórku, na którym mają zwyczaj chro-

nić się w razie niebezpieczeństwa. Manewr ten odbywa się w głębokiej ciszy. Około godziny 4 rano kamień rzucony, lub trzask gałęzi oznajmia, że pawiany obudziły się, i badają, czy nic podejrzanego nie widać wokoło. Nagle rozlegają się strzały, mały ugodzone kulami, wydają straszne, niemal ludzkie krzyki. Zazwyczaj kilkadziesiąt pawianów pada na placu, a ponieważ zwierzęta te nie przynoszą żadnego pożytku, myśliwi poprzestają na odcięciu ogonów, aby otrzymać nagrodę rządową po 3 fr. 75 centim. za sztukę. Zapytano raz pewnego starego Boera, czy jest zadowolony z ostatniego polowania na pawiany. „Polowanie było przepyszne — odrzekł. — Zabiliśmy czterdzieści małp a straciliśmy tylko dwóch ludzi.” Z odpowiedzi tej można powziąć wyobrażenie, jakie niebezpieczeństwo towarzyszy takim wyprawom.

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

Albo choć upajało Stefana życie tak różne od tego, które prowadził dotąd, choć budził się w nim często iście rycerski animusz, tęsknił nie tylko za szumem kłosew na Wielkopolskich równinach, za wiosną naszą i naszym śniegiem, ale tęsknił jeszcze do rozmów z ludźmi tej miary, co proboszcz Wągrowiecki lub Jakób O'Clear.

Od czasu jak zamieszkał na kolonii w Sixtenlots nie odebrał żadnego listu, nie czytał gazet, nie widział nikogo prócz osadników, których pracę podzielał. Praca ta pochłonięła każdą wolną jego chwilę, dlatego też nie był w Kurytybie, a teraz wyrzucał sobie, że zaniedbał to uczynić.

— Może znalazłbym w mieście ziomek dawniej osiadłych i doświadczeńszych ode mnie — myślał kierując konia z biegiem strumienia. Marzyły się Stefankowi wory kawy dostawiane do Rio, marzył cukier, tłoczony z trzciny w młynach własnego pomysłu. Zdolny ślusarz jest trochę mechanikiem i nasz bohater jeszcze w Wągrowcu próbował wyrabiać modele maszyn. Dlaczego nie miałby kiedyś założyć polskiej fabryki narzędzi, jak słyszał, że założyli ją Irlandczycy. Piękne plany, ale dla ich urzeczywistnienia koniecznym było nawiązać stosunki, stworzyć drogi zbytu. Tam gdzie mieszkał żadnej dotąd nie zbudowano drogi.

Odczuwał jej brak dotkliwie i teraz. Strumień służył mu za przewodnika, upały wysuszyły szeroko rozlane łożysko rzeki, mógł więc Stefek śmiało pędzić po równej bezleśnej powierzchni. Zauważył jednak wkrótce pewne poruszenie środkowych warstw wody, pokazywały się na niej żółte piany, prąd niósł je coraz szybciej i zostawiał na zakrętach pęki trawy, a czasem nawet wyrwane z korzeniami krzaki.

— Rzeka wzbiera, musiała spaść w górach ulewa — pomyślał Stefan. Zdjął go niepokój o kolonię.

Zatrzymał na chwilę konia i zapuścił wzrok w głąb puszczy. Był odważny, lecz zadrzał, gdyż otaczająca go przyroda mogła nawet śmiała przejąć obawę. Rzeka płynęła, szemrząc coraz groźniej, a z przeszczy dochodził złowróżbny szum. Nawet łagodne światło księżyca podnosiło wrażenie ponurego nastroju. Cedry spowite lianami wyglądały jak skamieniałe w więzach olbrzymy.

Dojechał już do tej części lasu, gdzie zabił węża i miał właśnie wzgórze na którym znikła mu z oczu Indyanka, gdy z gęstwin doleciał go ponury wrzask sowy. Drgnął mimowolnie, ale zdziwienie przemogło zabobn, bo w tej samej chwili sto sów odpowiedziało na wołanie pierwszej.

— Co to być może? — jakiś sowi sejm — myślał Stefek, w tem zaszeleściły gałęzie, zapewne zwierz przemykał się do kniei. Czemuż jednak biegł w stronę strumienia, kiedy do rana daleko a leśny mieszkaniec zwykł o świecie gasić pragnienie?

Leśny mieszkaniec, powiedziałeś Stefku? toż przekonaneś się już rano, że w puszczy żyją nietylko zwierzęta. Patrz bacznie, teraz znów mignął cień i tracił wysoką gałąź cedru. Nie dosięgnąłby jej żaden z brazylijskich czworonogów. Tylko małpa i leniwiec spinają się do tej wysokości, ale leniwiec śpi już niezawodnie, czemużby zaś małpy miały po nocy zabiegać drogę jeźdźcowi, lub czołgać się po ziemi. A tam pełza ktoś w stronę strumienia. Ten ktoś spojrział na jeźdźca i zniknął.

Biada ci Stefku, nie znasz zwyczajów i podstępnych zabiegów twoich nieprzyjaciół. Stajesz do walki, a nie potrafisz zliczyć wroga ukrytego w lesie, nie wiesz jak on z tobą poczynać zamierza?

Za to koń zdawał się odczuwać niebezpieczeństwo. Czy płoszył go wznoszący szum rzeki, czy instynkt zwierzęcia pozwalał mu odgadnąć to, czego nie rozumiał człowiek, dość, że przyspieszał biegu przeskakując wykroty zawałające brzeg strumienia i dążąc coraz szybciej do domu.

„Jako leśnicy, gdy sosny i dęby
Sieką wzdłuż puszczy, słychać łoskot w dali:
Jęczą topory, chrobocą pił zębny,
Kiedy niekiedy wierzchołek się zwali,
Nakoniec między wyciętymi zręby
Ujrzysz i męzów i błyskanie stali.
Takie wysiekłszy środkiem Niemców łomy,
Darł się ku Litwie rycerz nieznamy”

Biedny rycerz Stefek deklamował na pociechę wiersz Grażyny Mickiewicza. Podniecał w sobie animusz, bo droga stawała się coraz trudniejszą skutkiem przyboru rzeki, a jechał już kilka godzin nie odpoczywając wcale. On także darł się, wprawdzie nie przez szeregi niemieckie ale przez krzaki malin i splątane zwoje lian a groziło mu może większe niebezpieczeństwo niż Litaworowi biegnącemu na ratunek żony. Tymczasem jednak nieprzyjaciel pozostał ukryty w lesie, a jemu udało się nakoniec szczęśliwie pokonać trudności karkołomnej wyprawy. Był blizkim celu. Koń zarżał, bo poczuł nie stajnię wprawdzie, w Brazylii nikt na noc inwentarza nie zamyka, ale obrok przygotowany w żłobie. Stefek nadstawił uszu, zdawało mu się, że słyszy szczekanie psów.

— Do nogi Niemen, pójdź tu Warta! — wołał uradowany, kierując konia na głos wiernych brytanów, które choć urodzone w Brazylii, przyzwyczyły się już do tych nazw.

— Łaska Boża, że pan gdzie karku nie skręcił po nocy — zawołał Tomasz Grażela, który mimo późnej godziny czuwał nad bezpieczeństwem kolonii. I Tomasz słusznie zrzędził; w Brazylii, ludzie ostrożni niechętnie wyjeżdżają w drogę po zachodzie słońca, tylko tak mało doświadczony kolonista jak Stefek mógł się puścić na podobną wyprawę.

Zdjął siodło z konia i nie myśląc o spoczynku zabrał Tomasza na naradę. Należało zarządzić obronę przed napadem Botokudów, a stary Grażela wiele w życiu doznał przygód i zapach prochu milszym mu był od tabaki.

— Bijal ja różnych, pamiętają mnie Niemcy pod Miłostawiem a i gdzie indziej nie chodziło się darmo, ale tam, to byli tacy ludzie jako i my, a któż to wie, jak należy postępować z leśnym narodem. Spadnie ci to z gałęzi na kark, nieprzymierzając niby te małpięta, co je od kukurydzy odganiam a odpędzić nie mogę.

Tomasz drapał się w głowę zakłopotany, Stefek stał bezradny bo znużony drogą.

— Trzeba się zdać na wolę Bożą — powiedział w końcu Tomasz. — Brytany czujne, ot i teraz poleciały pod las i szczekają nie wiedząc czego. One pierwsze zwa-

chają, gdyby się kto skradał do baraku, fuzya pańska nabita, siekierę ma każdy pod ręką, co będzie, to będzie, a wyspać się panu trzeba, ja także spoczną choć chwilkę.

Rada zdawała się dobrą i Stefan usłuchał jej chętnie, lecz zaledwie słońce wyrzało nad puszcze poszedł, rozpatrzeć przyszłe pole bitwy. Obejrzał się za psami, towarzyszyły mu one zwykle we wszystkich spacerach. Daremnie jednak przyzywał brytany nie było ich nigdzie w pobliżu.

Złe przecucie ścisnęło mu serce. Pobiegł w stronę lasu, tam gdzie przed paru godzinami ujadły zajadle, podczas gdy on rozmawiał z Tomaszem. Nie szukał długo, spostrzegł je wyciągnięte na ziemi. Strzały sterczały w kudłach biednych zwierząt, musiały być zatrute, gdyż nie tkwiły głęboko a jednak oba psy leżały sztywne i zimne.

— Niemen! Warta! powtarzał Stefan, wstrzymując łyż, które cisnęły mu się do oczu.

Tomasz wiedział już o kłesce, jaka spotkała kolonię, wieść obiegła wkrótce całą osadę, wywołując żal i przestroch. Jeżeli dotąd lekceważono sobie Indian, w tej chwili przesadzano ich potęgę. Najwięcej pomstowała Marcynowa, ona to dbała o pożywienie dla brytanów, ona też lamentowała najgłośniej. Stefan zamknął się w swej kuźni i pracą próbował tłumić żal. Życie w puszczy stawało się dla niego jeszcze smutniejszym.

Tak minął ten pamiętny w dziejach osady dzień; Tomasz wyznaczył stróżów do pilnowania baraków, a sam zasiadł z panem Lutym na progu kuźni. Próbowali we dwóch ułożyć plan dalszego postępowania, ani stary wiarus ani zmartwiony stratą psów Stefek nie umieli znaleźć rady na nieprzyjaciela, którego znali tak mało. Noc przeszła jednak spokojnie, ale osadzie groziło tymczasem nowe niebezpieczeństwo. Spadły w górach wielkie deszcze, rzeka przybrała i mogła zalać uprawne pola.

— Dziewuchy do jeziora z konewkami poszły, przecie zmulonej wody brać nie będą z rzeki, raportowała Marcynowa Stefkowi, który mimo strapienia zasnął smacznie.

Zawstydzony w jednej chwili był już na nogach, lecz zdziwił się, bo spostrzegł sznur kwitnących lian, który zagradzał przejście od kuźni ku lasowi. Minął pole kukurydzy, aby dojść do strumienia, tu także wyrabano dostęp między krzakami, i tu gałęzie liany zamykały drogę. Wydało mu się, że zalew nie grozi polom, wrócił więc uspokojony w stronę baraku. Za ledwie jednak uszedł kilkadziesiąt kroków, spostrzegł dróżkę zamkniętą taką samą zaporą z lian, jak przejście ku strumieniowi.

— Co to być może, kto traci czas na bezmyślną zabawę — i to w obec grożącego od Indian niebezpieczeństwa, myślał Stefan, dążąc do kolonistów, którzy szli okopywać mandiokowe pole. Spotkał po drodze Tomasza, który nie odzyskał dotąd zwykłej fantazyi, on także przywykł mieć psy za towarzyszy, otrucie brytanów odebrało staremu humor.

(d. c. n.)



ZE ŚWIATA.

Zmiana panującego w Saksonii. W zamku Sybillenort (Sybilnia) pod Dreznem zmarł król Saski Albert, z dynastyi Wettinów. Zmarły król wstąpił na tron po ojcu swoim, królu Janie w 1873 r. i odznaczał się wielkimi zdolnościami

mi wojennemi, które w latach 1866 i 1870 wykazał. Królem został brat jego, książę Jerzy.

Saksonia była w XV, XVI i XVII wieku jednym z największych państw rzeszy niemieckiej, a elektor Saski (tak zwano 4 książąt świeckich i 3 biskupów, którzy wybierali cesarzy niemieckich), uchodził za najpotężniejszego władcę. Od XVIII jednak wieku przewaga przechodzi do elektorów Brandenburskich, którzy przyjęli tytuł królów pruskich.

August II, zwany Mocnym, elektor Saski i król polski, oraz syn jego August III w nieszczęśliwych wojnach z Fryderykiem II pruskim utracili część swych posiadłości. Syn ostatniego, elektor Fryderyk August, wierny sojusznik Napoleona, wprawdzie pozyskał tytuł królewski, lecz po kongresie Wiedeńskim 1815 r. musiał jeszcze odstąpić część ziemi Prusom, tak, iż obecnie królestwo saskie zajmuje tylko przestrzeń około 15000 wiorst kwadratowych, w znacznej części górzystą, ale bogatą w różne minerały, żyzną ziemię, z bardzo rozwiniętym przemysłem.

Amerykańska kolej centryfugalna z ryc. Amerykanie bawają bardzo pomysłowi i często urządzą dowcipne, a na zasadach naukowych oparte rozrywki. Do rzędu takich należy rodzaj wielkiego młyna dyabelskiego, ustawionego w jednym z parków w pobliżu New-Yorku, nazwanego kolejką centryfugalną, z którego można przekonać się o działaniu siły odśrodkowej, to jest siły, która przy obrocie jakiegokolwiek przedmiotu—zmusza go do oddalania się od środka obrotu. Kolejka ta, jak widzimy z ryciny, składa się z rusztowania drewnianego, na którym ułożono szynę stalową do puszczania niewielkich wagoników. Wagoniki te, spadające ze znacznej wysokości, okrążają z rozpędem owalny, ustawiony pionowo tor, przylegając do toru dzięki właśnie sile odśrodkowej.

Wprawdzie dla bezpieczeństwa odpowiednio urządzone ruchome klamry przytrzymują je u toru, ale w zasadzie jest to niepotrzebne, bo wagoniki trzymają się szyn i bez tego. Osoby pragnące użyć tej przejażdżki, każą się przywiązywać do wagonu, lecz po kilkakrotnym przebyciu drogi przychodzą do przekonania, że przywiązywanie jest zbyteczne, gdyż człowiek nie jest w stanie, choćby nawet chciał, wypaść z takiego wagonu, gdyż go prawdziwie przykuwa doń siła rozpędu odśrodkowego.

Bądź co bądź niewiele osób z publiczności decydowało się na przejażdżkę, która choć bezpieczna, wydaje się karkołomną i zostawia silne wstrząśnienie, to też nie cieszyła się zbyt wielkim powodzeniem.

Myśli i zdania.

Często za jedną chwilą wielkie rzeczy stoją
A co spóźni godzina, lata nie zagoją.

ZAGADKA.

Jestem przyimkiem, ale poza tem
Łączę się brzmieniem z uroczym kwiatem,

Który corocznie w piękne dni maja
Wszystkie ogrody cudnie przystraja.
Milszy nierównie od swego brata,
Co wielce wonny kwitnie wśród lata,
A ma działania zakres tak duży,
Że choć i suchy, wciąż ludziom służy.

ŁAMIGŁÓWKA.

przez Grażynę.

1)	1	Pole zwycięstwa Greków.
2)	2	Rzeka w Afryce południowej.
3)	3	Rozbójnik morski.
4)	4	Rada królewska w Hiszpanii.
5)	5	Wyspa na morzu Śródziemnem.
6)	6	Miasto w Guyanie francus.
7)	7	Miasto w Wyższej Gwinei.
8)	8	Część świata.
9)	2	Znakomity rzeźbiarz w staroż.
10)	1	Góry w Turcyi Europejskiej.
11)	9	Wyspy na morzu Egejskiem.
12)	6	Nazwa wielu królów Syryjskich.
13)	4	Staroż. kraina Póln. Grecyi.
14)	15	Poemat bohaterski.
15)	18	Miasto w prow. Nadreńskiej.
16)	20	Zbiór zasuszonych roślin.
17)	18	Flaga okrętowa.
18)	18	Miejscowość w Palestynie.

Ułożyć siedmiogłoskowe wyrazy, aby litery oznaczone liczbami złożyły nazwę wyspy oraz wulkanu, znajdującego się tamże. Jednakowe liczby oznaczają jednakowe wyrazy.

ROZWIĄZANIA DO N-ru. 27-go:

Łamigłówek w kwadracie:

J u d y t a
H e l e n a
N a s s a u
U k o i ł a
K i s i e l
w u l k a n

NOWY WYNALEZEK.

Patentowane amerykańskie maszyny do pisania
dla dzieci w cenie

rub. 2 i rub. 3 za sztukę.

Sprzedaż u H. Łaski & C^o w Warszawie

HOŻA 46.

(5)

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Pawiany (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, p. Wł. Umińskiego. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Do mojego grajka, wiersz przez T. L. — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Ze świata: Amerykańska kolej centryfugalna (z ryc.) — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Piosnka, wiersz (z ryc.) — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho (z ryc.) — W Krainie wiecznego wesoła, baśń przedstawiona w teatrze marynetek. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: N. zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.



Piosnka.

Jestem sobie pasterz mały,
Pasę krówki i owieczki,
Biegam z nimi dzionek cały,
Koło lasu, koło rzeczki.

Rano pasać trzodkę wołę!
Kiedy słońko jasne wstanie,
Matus daje mi śniadanie
I wybieram się na pole.

Tam tak świeżo, tak wesoło,
Tyle słońka, tyle rosy!

I ja sobie, pasterz bosy,
Śpiewam piosnki, biegam w koło.

Po obiedzie znowu z trzodą,
I na wieczór aż powrócę,
Owce trawkę skubią młodą,
I ja znowu piosnkę nucę.

Julia Piasecka.

Przygody Wojtaszka.

(Dalszy ciąg).

Wojtaszek rozgadał się na dobre, unosząc się nad wszystkim, co pozostawił w Brzezinkach, a chociaż słabo jeszcze mówił po niemiecku, sztukował jak mógł, byleby go Mira zrozumiała. Nie bał się nikogo, bo na wozie prócz śpiących dzieci i woźnicy, nikogo więcej nie było. Aż mu policzki poczerwieniały ze wzruszenia, tak się zapalił; z taką lubością wspominał minione czasy, taki żal czuć było w głosie jego, gdy mówił, że już do szkół w dużym mieście chodzić nie będzie, że panicz dobry, pewnie już o nim i o danej obietnicy zapomni.

Mira chciwie chwyciła każde jego słowo, a nachylając się tak, że prawie ustami dotknęła ucha chłopca, szepnęła:

— Ralfie, czy chcesz być mi posłusznym?

— O tak!

— Wszystko zrobisz co każę?

— Tak!

— No, to dobrze, nie pożałujesz tego, tylko, przedewszystkiem milcz! Pamiętaj, ani słowa do nikogo, inaczej źle będzie z nami!

Wojtaszek niezupełnie rozumiał, co to miało znaczyć. Czego ona od niego będzie wymagała, i w czym ma być jej posłuszny. Dotąd rozkazywał mu Czardaj, Hagel i Kulim. Czyżby teraz nimi rządzić miała ta czarna dziewczyna, o smutnych, błyszczących oczach?

Umilkli, bo wozy zatrzymały się. Dojeżdżali do miasta, w którym mieli się zatrzymać dłużej i dać kilka lub kilkanaście przedstawień. Czardaj z Hagiem poszli na przód zameldować się władzy i prosić o pozwolenie wjazdu do miasta. Uzyskali je niezwłocznie, a gdy wozy zaturkotały po miejskim bruku, przejeżdżając różne krzyżujące się ulice, dzieci i starsi nawet, przeważnie z klasy rzemieślniczej, wybiegali przed domy i wymachując kapeluszami lub chustkami wołali:

— Komedycyanci, komedycyanci przyjechali, witamy was, panowie skoczki!

Zatrzymano się na niewielkim placu i zaczęła się praca nielada! Trzeba było zaraz postawić kilka mniejszych budek dla zwierząt i ludzi, jedną dużą, gdzie miały odbywać się przedstawienia, nakryć ją nieprzemakalnym płótnem, urządzić w niej scenę, i ławki dla publiczności, bo za dwa dni najwyżej miało być dane pierwsze przedstawienie. Zwijali się wszyscy, Czardaj nikomu nie pozwolił próżnować, a gdy nazajutrz mieszkańcy miasta, zwabieni piękną pogodą, wyszli użyć przechadzki, ujrzeli na rogach ulic poprzyklepane różnokolorowe afisze z napisem:

„Sławna i znana w całej Europie trupa akrobatów Czardaja gości w mieście i daje w dniu dzisiejszym wielkie przedstawienie, obejmujące: Ciekawe przygody myśliwego, oraz Przejazdźka panny Nelli po zaczarowanym lesie.”

Przechodnie gromadzili się przy afiszach.

— To musi być coś ciekawego, ten zaczarowany las — mówi jakiś pan do swojej żony. — Maryo, możebyś chciała, abym wziął bilety dla nas obojga?

— Owszem, chętnie się rozerwę, w naszym mieście tak rzadko zdarza się coś podobnego.

— Mamusiu, mamusiu kochana, weź mię, proszę,

na przedstawienie — woła jakiś chłopczyk, czepiając się rąk matki — jak żyję nie widziałem polowania, niech choć na scenie zobaczę.

— Owszem, ale czy dobrze odrobisz zadane lekcye przez nauczyciela.

— Och! zobaczysz, doskonały stopień dostanę, na pewno piątkę.

Opodał, na rogu kamienicy czerwieni się z daleka afisz, staje przed nim jakaś pani.

— Wezmę dla wszystkich dziewcząt bilety — mówi do siebie — pracują w moim magazynie tak pilnie, powiem im, że to za sumienną pracę nagroda. Myślę, że im to sprawi przyjemność, rozwesela się trochę, bo akrobaci umieją do śmiechu pobudzić.

I biegnie szybko, uśmiecha się, a tuż za nią znów ktoś mówi:

— Czy państwo wybierają się na dzisiejsze przedstawienie?

— Tak, mamy już bilety.

— W takim razie i ja spieszę, boję się, że wieczorem może ich zabraknąć.

— Do widzenia!

— Żegnam państwa.

Widocznem było, że przybycie trupy Czardaja zrobiło wrażenie w mieście. Oczekiwano z upragnieniem wieczoru, a w cyrku tymczasem, a właściwie budzie drewnianej, przybranej festonami z kolorowego perkalu, zielenią i lampkami, czyniono ostatnie przygotowania, przysposabiano ubiory i ustawiano potrzebne przybory. Czardaj, pewny dobrego zarobku, zacierał ręce z zadowoleniem. Gdy się dobrze ściemniło zapalono lampy. Płonęły jasno, rzucając dokoła snopy światła, muzyka z Kulimem na czele przygrywała ochoczo jakąś węgierską ludową piosenkę, a publiczność napływała, napływała ciągle!

Wojtaszek ze zdziwieniem patrzył na wszystko, jako na nowość, Mirze ręce drżały, gdy ubierając małą Nelly, mówiła jej pieszczotliwie:

— Dziecinka niczego bać się nie będzie, prawda?

Dziecko przyrzeka być posłuszne i wraz ze swą opiekunką oczekuje ze drżeniem i niepokojem chwili, gdy je wezwą na scenę, a tymczasem rozpoczyna przedstawienie, Dik ze zwierzętami!

Scena przedstawia las, więc wszędzie drzewa, krzaki, gaje. Dik, dziesięcioletni chłopczyk wchodzi, kłania się zrećnie publiczności. Ubrany jest po myśliwsku, z fuzyą przewieszoną przez ramię, z torebką u boku, z której wyglądają zapasy żywności. Obok niego pies tropiący zwierzynę.

(d. c. n.)

Marya Weryho.

Co znalazłem w błotach i kałużach?

14. Grzbietopławek.

Mam go nareszcie, ale niemało mnie trudu kosztował. Poznałem go odrazu.

Siedzę w łódce, rękę spuszczam do wody i chcę wy-

rwać z korzeniem prząstkę — wtem coś mię ukłuło, a tak mocno, jak pszczoła. Wyciągam rękę (ale tym razem nie krzychałem: już tak bardzo, jak dawniej) patrzę, przysadzisty owad uczeplił się mojej dłoni; potrącam rękę i dopiero z wielkim wysiłkiem oderwałem go.

Ale co to? grzbietopławek! no, naturalnie, że nic innego: gruby, wylupiaste oczy; ta para nóg wysuniętych jak wiosła, zaraz go po nich poznałem.

— Dziadku, dziadku! mam grzbietopławka nareszcie!

— A cóż ci tak do niego pilno było?

— Podobno jest akrobatą wodnym, więc bardzo jestem ciekawy poznać go bliżej.

I rzeczywiście, było to dla mnie najwięcej zajmujące stworzenie: rusza się w wodzie tak prędko, jak błyskawica; już jest, już go niema. Przytem pływa na grzbicie. Zdaje się, że to na pozór niewygodny sposób pływania, jest jednak dla niego bardzo praktyczny.



Gdy grzbietopławek dostrzeże zdobycz, w oka mgnieniu zanurza się w głąb i nie wykonywając żadnych ruchów, jak korek wznosi się do góry, porywa przednimi łapami

ofiary z pod spodu, kąsa boleśnie i krew wysysa. Okrutnik to straszny.

Wyobrażam sobie, jak musi używać, gdzie są ryby! Lecz jeżeli kto o tem nie wie, to może się zachwycać jego zręcznością i szybkimi ruchami.

W KRAINIE WIECZNEGO WESELA.

Baśń przedstawiana w teatrze marionetek w Warszawie.

(Dokończenie).

SCENA V-ta.

Jagusia, — St. karzeł (którego Jagusia nie widzi).

(Jagusia siada, chwilę pozostaje zadumana, potem zaskłania oczy i cicho płacze. Stary karzeł zbliża się do niej po cichu i kładzie rękę na ramieniu).

S. karzeł (łagodnie). Czego płaczesz, dziecko?

Jagusia (podnosi głowę zdziwiona). Ach to wy, panie.

S. karzeł. Co twoje łzy znaczą?

Jagusia (do siebie). Czy mu wyznać? (po chwili wahania). Podobniście do mego dziadusia, to i ufność we mnie budzicie! Mogęż mówić z wami otwarcie? czy mnie wysłuchać chcecie?

S. karzeł (z rozczuleniem). Mów, dziecko!

Jagusia. Pięknie tu u was w krainie wiecznego wesela, bogato; ale mnie duszno, mnie ciasno, nudno i tęskno — rady dać sobie nie mogę!

S. karzeł. Czegoż ci brak?

Jagusia. Czego?... Dziadusia, mojej chatki, lasu.. Ratujcie, panie! (chce całować jego ręce).

S. karzeł. Więc chcesz powrócić na ziemię?

Jagusia (*rozpromieniona*). O tak!...

S. karzeł. Alboż nie wiesz, że tam czeka na ciebie praca, samotność, ubóstwo?

Jagusia. Wiem, ale i to czuję, że tu dłużej między wamiżnie wyżyję!... Myślałam, że przywyknę, ale nie mogę, z każdym dniem mi gorzej, ciężiej. To nie dla ludzi mieszkanie, ta kraina wiecznego wesela.

(*Chwila milczenia. Karzeł stoi zadumany. Za sceną słychać wołanie: Jagusiu, Jagusiu!*)

S. karzeł. Wołają cię, niema czasu do stracenia. Spuść się na mnie — powrócisz do dziadka.

Jagusia. O dzięki! dzięki!

S. karzeł. Ale, dodać muszę, że tu już nigdy powrócić nie można!

Jagusia. Wiem o tem, mówiły mi rusałki.

S. karzeł. I nigdy nie będziesz żałowała, żeś nas opuściła dobrowolnie?

Jagusia. O, nie dobrowolnie! Poniewoli!..

S. karzeł. A ktoś cię do tego zmusza?

Jagusia. Serce..

(*Dwie rusałki wbiegają*).

SCENA VI-ta.

Ciż sami — rusałki.

Rusałka. Niema tu Jagusi! Szukamy jej!

Jagusia. Jestem.

Rusałka. Czemu się kryjesz, chodź się bawić!

(*Wybiegają. Zastona spada*).

ODSŁONA IV.

(*Scena przedstawia tę samą chatkę i las, co w akcie pierwszym. Ranek, słońce wschodzi. Ścieżyną śpieszy stary karzeł w kapturze na głowie, za rękę prowadzi Jagusię, która ma oczy zawiązane. Zbliżają się do chatki karzeł zdejmując Jagusi zastonę z oczu*).

SCENA I-sza.

S. karzeł, Jagusia.

S. karzeł. No, już jesteście!

Jagusia (*z radością*). O, moja chatko! O, lesie ukochany! Jak tu pięknie, jak swobodnie! (*do karła*). Dzięki wam, dzięki!

S. Karzeł. Nie dziękuj tak, mnie twoja radość nagradza. A na pożegnanie, przyjm dziecię ten talizman ode mnie, to najlepsze na smutki i troski lekarstwo.

(*Podaje Jagusi złote ucho, złote serce i złotą rączkę*).

Jagusia (*biorąc z nieufnością*). Cóż to jest? Co mam z tem robić?

S. karzeł. Widzisz, gdy ci będzie bardzo źle i ciężko na duszy, przyłóż do swego ucha to złote uszko, wtedy dowiesz się komu jest jeszcze gorzej, jeszcze ciężiej niż tobie — tem uchem bowiem posłyszysz każdą skargę tajemną, każde stłumione westchnienie. Gdy już będziesz wiedziała w czyjej duszy smutek gości, przyciśnij do piersi to złote serce, a odczujesz wówczas ludzkie cierpienia, jak własne, a wtedy sama bezwiednie pochwycisz złotą rączkę i będziesz te cierpienia koić, leczyć, łągodzić.

Jagusia (*z niedowierzaniem*). I mnie to pomoże?

S. karzeł. O, to jest niezawodne lekarstwo! A teraz żegnaj dziewczę i zachowaj mnie w pamięci.

(*Znika. Jagusia stoi chwilę głęboko zadumana, przygląda się talizmanowi*).

SCENA II-ga.

Jagusia sama.

Jagusia. Dziwy prawil!... Ale on mądry jest bardzo, trzeba to zachować i w potrzebie popróbować lekarstwa.

(*Drzwi chatki otwierają się cicho i staje w nich dziaduś*).

SCENA III-cia.

Jagusia — Dziaduś.

Dziadek. Kto tu rozmawia? To głos mojej Jagusi.

Jagusia (*podbiega, obejmuje jego nogi, całuje ręce*). Tak, to ja, dziadusiu.

Dziadek (*przytula ją z rozczuleniem*). Wróciło dziecko moje do starego dziadka, do ubogiej chatki.

Jagusia. Już cię nigdy nie opuszczę!

Dziadek. Cóż to się stało, czy nie dość pięknie, nie dość wesoło w rusałek krainie?

Jagusia. O, tam pięknie, dziadusiu i wesoło — ale najpiękniej we własnej chacie, a najweselej przy Kochającym sercu.

Dziadek (*z uśmiechem*). A widzisz sroczo. A widzisz.

Jagusia. Zawsze już razem będziemy!

Dziadek. Tak, dziecko.

Jagusia. A teraz zabiorę się do roboty: śniadanie zgotuję, izbę uprzątnę. Dalej Jagusiu, dalej!

(*W podskokach ginie na progu chaty*).

SCENA IV-ta.

Dziadek sam.

Dziadek. Dziecko kochane!... Serce zawsze trzyma człowieka; mówisz mu: to ubogie, a ono mówi: ale drogie, mówisz: to smutne, a ono: ale drogie, czasem mówisz nawet: to złe — a ono zawsze swoje, ale drogie — i powraca. Gdyby nie serce, zginęłaby moja dziewczyna w krainie wiecznego wesela.

(*Jagusia wybiega z chaty*).

SCENA V-ta.

Jagusia — Dziadek,

Jagusia. W mig śniadanie gotowe, dziadusiu, chodźcie!

Dziaduś. A potem do lasu, na służbę, ty znowu sama zostaniesz, dziewczyno.

Jagusia. Z kołowrotkiem, z piosenką, z myślą o was, dziadusiu i z radością w sercu, żem z wami!

(*Znikają na progu chaty*).

Zastona spada.

M. Lipska.

METAGRAM.

Ogrodniczek z nad Przemszy.

Przez m, często się zmieniają,
Przez l, dzieci ze smakiem zjadają.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

ul. M. Bemska.

K	O	R	O	M	A	Godło królewskie.
T	A	R	C	Z	A	Broń ochronna daw. czasów.
P	I	L	C	C	A	Dopływ Wisły.
M	A	L	E	M	A	Owoc letni.
T	E	R	E	J	A	Imię żeńskie.
W	A	R	C	J	Z	Kwiat wiosenny.

Litery oznaczone liczbami, złożone mają nazwę miasta guber. w Królestwie Polskiem. Sylaby: ~~cyz~~—~~li~~—~~ko~~—~~sa~~—~~na~~—~~za~~—~~na~~—~~te~~—~~sa~~—~~ni~~—~~ma~~—~~li~~—~~ni~~—~~ta~~—~~re~~.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 27-go.

Szarady: Ja — maj — ka.

Zadania konikowego.

Po trosze, po trosze zbierają się grosze.

Zadania na rozsypane litery: Krem czekoladowy.

Skrzynka do listów.

Oleńce Wścibskiej. Mały siostrzeniec przeszkadzał ci w napisaniu listu do redakcyi, trudno mieć żal do tak ważnej osoby, jaką jest dla młodej cioci jej pierwszy siostrzeniec i redakcyja musi mu pierwszeństwa odstąpić. Mile i pożytecznie spędzasz lato, a choć sądząc z twego pseudonymu lubisz wszędzie nosek wścibić, nie jest to rzeczą naganną, gdy nie ciekawość, lecz chęć dopomożenia innym w pracy jest ku temu pobudką. Zajmuj się więc w dalszym ciągu pszczelnictwem z siostrą, zbieraniem ziół z ciocią, cwałuj na koniu z braciszkiem i pieść małego siostrzeńca, a w wolnych chwilach nie zapominaj o książce, robótce ręcznej i zaczętej z redakcyą korespondencyi. Łamigłówka z kolei umieszczona będzie.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Aluś, Żenia, Aniela i Benek K., z Łodzi, Nenufar, Jaśmin, Hajduczek, Wiochna, Dwie Zośki z Topolowej Góry, Jędrus M., Biała Kartka, Dzielnny Marynarz, Elutka M., Żabka z nad Rosi.

Łochozwiance i Bladej Iskierce. Odpowiedź dotyczącą obu konkursów znajdziemy w zeszłym numerze. Za serdeczne listy wasze całym sercem wdzięczna jestem. Nie przeceniaj Łochozwianko mych zalet i nie sądź, bym mogła służyć koniecznie za wzór godny naśladowania, jak każdy z nas ludzi ułomnych mam może niektóre dodatnie strony, ale niestety znajdzie się i ujemnych wiele. Pamiętniki Maryi Wessłówny czytałam z wielkim zajęciem. Zmęczona jestem miastem i z radością myślę, że już wkrótce wyjadę na wieś. Oleńka Wścibska przesyła ci pozdrowienia.

Z jakąż ciekawością oczekiwać będę twego opowiadania ilustrowanego rysunkami *Bladej Iskierki*.

Zanadto wymagającą jesteś *Iskierko*, bo doprawdy nie masz wcale brzydkiego pisma, choć nie jest jeszcze zbyt równe.

Drugiego Hajduczka zapisuję na listę mych korespondentów (pierwszym pozostanie *Hajduczek z Wiru*) a mam nadzieję, że ten drugi częściej się do mnie odzywać będzie, pierwszy milczy od dawna. O zaginiony numer zgłoś się wprost do redakcyi.

„Młodość ma swoje prawa” piszesz słusznie *Czarna Myszko z Woł.*, a niestety jest dziś tak wiele młodości, która się tych praw wyrzeka dobrowolnie i przedwcześnie chce uchodzić za starszych, pozbawiając się tym sposobem wielu chwil miłej zabawy i swobody, które gdy raz przeminą, nie powrócą więcej.

Na powagę czasu dosyć, więc dobrze robisz, że swobodnie i wesoło używasz miłych chwil wakacyjnych w drogim i starym domu rodzicielskim, że nie „zważając na godność czterdzieltniej osoby” skaczesz „na pół łokcia w górę” by osiągnąć smacznej czereśni. A że to bynajmniej nie przeszkadza poważniejszemu myśleniu i zapatrywaniu, mam dowód w dalszym ciągu twego listu, gdy dzielisz się wrażeniami przeczytanych arcydzieł naszej pięknej literatury. Z prawdziwą przyjemnością list twój odczytałam raz jeden i drugi, wieje z niego tyle pogody wiosennej, chciałabym, by dużo rówieśniczek podzielało twe zapatrywania, chciałabym zawołać: nie starzejcie się przedwcześnie bo „młodość ma swoje prawa”, a cóż nad nią piękniejsze! Pozostań w gronie mych stałych korespondentek bo, chciałabym często z tobą gawędzić!

Lilii Wodnej. Nie mam żalu do ciebie, żeś dawno nie pisała, bo sama często narzekam, że czas tak prędko leci i wiele rzeczy, któreby się chciało zrobić, nie można.

Lepiej, że twoja siostrzyczka w przyszłym roku dopiero egzamin zdawać będzie, bo cała nauka łatwiej pójdzie, gdy zazwyczaj, będąc zupełnie dobrze przygotowaną. *Niezapominajce* (jest ich kilka nie wiem której) za pozdrowienia dziękuję, ale musi być leniuszek, jeżeli sama napisać nie chciała. Burza obeszała się ze mną łaskawie, nie straciła gniazdko i pozwoliła się ukryć w skrzynce redakcyjnej. Wiesz, że jaskółki mają czarne skrzydełka, użyły tej barwy moim włosom, więc nie jestem jeszcze wcale „siwą panią.” Cieszę się myślą, że dzisiejszy numer nie wywoła głośniego westchnienia, bo odpowiedź odnajdziesz i zapewnienia szczerej mojej sympatyi dla ciebie.

Szkoda *Antku*, że zwiedzając Warszawę i przechodząc Mazowiecką ulicą, nie zaszedłeś do naszej redakcyi, chętnie tam witamy naszych korespondentów i czytelników. W czwartym kwartale powiększymy twoją biblioteczkę ciekawą książką, którą jako premium rozesłaliśmy wszystkim prenumeratom. W Piotrkowie nie byłam, opisz mi kiedy ważniejsze jego pamiątki.

Dwie Zośki z Topolnej Góry i Wiochnę witam jako nowe korespondentki, proszę tylko by *Zośki* następnym razem dłużej nieco napisały. Siostrzyczkom *Wiochny* za uściski dziękuję, a mam nadzieję, że *Góralka* zachęcona twoim przykładem sama do mnie napisze, ale już po wakacjach, bo w przyszłym numerze pożegniam was *kochane korespondentki* i *drodzy korespondenci* na półtora miesiąca, jeżeli więc kto chce mieć odpowiedź, to niech przed środą list przysyła, później otrzymane będą czekały jesieni i mego powrotu.

Wasza *Jaskółka*.

Żarcik na zakończenie.

- Zosiu, czy twój mały braciszek już chodzi?
- Nie, proszę cioci, ale już ma dwie nóżki.

Najprzyjemniejsza i najlepsza rozrywka podczas wakacji letnich

„Uniwersel”

najlepszy i najtańszy, niewymagający nauki aparat fotograficzny do zdejmowania osób, widoków i scen momentalnych z magazynem na 6 klisz, form. wizytowy tylko r. 4 k. 50, gabinetowych r. 7 k. 50.

M. GOŁEMBIŃSKI

Krakowskie-Przedmieście Nr. 6 wprost Św. Krzyża

Tamże wszelkie przybory i materiały w stanie gotowym do użycia oraz klisze „Expres.”

27 i 29